

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/378

1979



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

WŁ. ODOJEWSKI :

NIEWIEDZA CZY ŚWIADOMY FAŁSZ

J. NOWAK : **TRZY LATA RUCHU OPORU W POLSCE**

BRUKSELCZYK :

DRUGA STRONA CZWARTEGO MEDALU

L. BREZNIEWA

M. BROŃSKI : **JAN PAWEŁ II, NIEMCY, POLSKA**

J. MACKIEWICZ :

PRZED 25 LATY ZMARŁ WŁ. STUDNICKI

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Pierwsza książka tej serii (nosząca numer 2-gi) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

ANDRZEJ MICEWSKI

„WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ” ?

PAX I ZNAK W POLSCE 1945-1976

Stron 269. Cena: F. fr. 50,00 (lub równowartość).

Książka do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji, u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”

12, rue St. Louis-en-l'Île, 75004 Paris.

Następna książka z tej serii (nosząca numer 1-szy) jest już w druku. Będzie to:

Henryk Wereszycki

„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI. 1864-1918”

Archiwum polityczne

Trzy lata ruchu oporu w Polsce

Wydział z Z.Y. jest próbą syntetycznego bilansu ruchu oporu moralnego, który rozwinął się w Polsce w ciągu ostatnich trzech lat. Forma pytań i odpowiedzi, przyjęta jako najbardziej dogodna dla czytelnika, jest rekonstrukcją nie jednej lecz kilku rozmów z „krajowcami” bądź to zaangażowanymi czynnie bądź też ograniczającymi się do roli przychylnych obserwatorów.

Pytanie: — Piątego grudnia 1978 roku upłynęły trzy lata od chwili wysłania „Listu 59” do marszałka sejmu przeciwko zmianom konstytucji. Zaraz po nim poszedł memoriał 101, list 95 studentów z Warszawy, Lublina i Wybrzeża, później runęła cała lawina listów, manifestów i petycji. Michnik ocenił kiedyś ogólną liczbę podpisów na 40 tysięcy. Czy datę 5 grudnia 1975 i masowe protesty przeciwko zmianom konstytucji można uznać za początek ruchu oporu w jego obecnej, jawnej postaci?

Odpowiedź: — Chronologicznie wcześniejszy był list piętnastu w obronie Polaków w Rosji (wczesna wiosna 1975) pominąwszy dużo dawniejsze próby, jak słynny list 34. Były to jednak wystąpienia sporadyczne, nieśmiałe i ograniczone najwyżej do kilku dziesięciu osób. Tak, jeśli chodzi o ruch o charakterze masowym i ciągłym da się powiedzieć, że w dn. 5 grudnia 1978 przypadła jego trzyletnia rocznica. Z tym, że drugi krystalizujący etap zaczął się z chwilą uformowania się KOR-u we wrześniu 1976.

P.: — Czy zgodzi się pan, że inspiratorem i przykładem dla Polski stał się ruch dysydencki w ZSSR datujący się od końca lat sześćdziesiątych.

O.: — I tak i nie. Jeśli chodzi o samą formę: jawne występowanie z uchyloną przyłbicą i inne cechy charakteryzujące ruch

oporu w Polsce — przykład dysydentów w ZSSR pokazał drogę i miał znaczenie pionierskie. Tacy ludzie jak Sołżenicyn, Sacharow, Grigorenko i całe zastępy innych — oddziaływali zresztą na Polaków nie tylko samym przykładem. Sołżenicyna można chyba uznać za głównego ideologa oporu cywilnego. *Archipelag GULAG* zawiera szereg kapitalnych sformułowań myśli, które trafiły w Polsce na szczególnie podatny grunt. Ale polski ruch ma równocześnie swoją własną, rodzimą genealogię. Polska, jak już powiedziałem, przyjęła od dysydentów jawność działania, grupowanie ludzi o różnych przekonaniach wokół wspólnego celu, jakim jest obrona praw człowieka i narodu, wyrzeczenie się gwałtu jako metody walki, działanie w ramach porządku legalnego z powołaniem się na prawo konstytucyjne i umowy międzynarodowe. Trzeba jednak pamiętać, że opór w Polsce trwał właściwie nieprzerwanie od zakończenia wojny a jego przykład oddziaływał z kolei w jakimś stopniu na to, co później stało się w Rosji. Zmieniały się u nas tylko formy i metody walki.

P.: — Czy pomimo tych różnic widzi pan jakąś ciągłość?

O.: — Istnieje niewątpliwie wspólny mianownik w psychice i nastawieniu społeczeństwa. Może najwidoczniej wystąpiło to właśnie w latach największego nasilenia terroru stalinowskiego. Infiltracja społeczeństwa przez bezpiekę osiągnęła wtedy dostateczne nasycenie, by wytworzyć stan psychiczny, wymarzony przez każde państwo policyjne. Mam na myśli psychozę wzajemnych podejrzeń, która kazała ludziom dopatrywać się potencjalnego donosiciela w sąsiedzie, koledze często nawet w kimś z własnej rodziny. W tych warunkach utrzymanie jakichkolwiek, nawet najbardziej nieformalnych związków społecznych stało się niemożliwością. Nie mówiąc już o konspiracji. Jak wiadomo próby kontynuowania wojennego podziemia w pierwszych latach PRL w warunkach ustroju totalnego, opartego na rodzimym elemencie, zakończyły się katastrofą. A jednak nawet to zatอมizowane do cna społeczeństwo znalazło skuteczne formy biernego, całkowicie nieorganizowanego, nieskoordynowanego, być może nawet nieświadomego oporu. Polegał on po prostu na pewnym paralelizmie reakcji i zachowania się jednostek, który dawał w sumie potężny efekt. Weźmy opór chłopów przeciw kolektywizacji, który sprawił, że przed Październikiem Polska znalazła się znacznie w tyle za innymi demoludami. Przyczyny szukać należy w tym, że wykonawcy niższego, zwłaszcza lokalnego szczebla (gromady, gminy, czasem nawet powiatu) sabotowali rozkazy płynące z góry, jeśli mogli sobie na to pozwolić bez nadstawiania karku. W gruncie rzeczy przechodzili po cichu na stronę chłopów. Tam, na

górze odkryto nagle, że dyspozycje kierowane w dół grzęzną gdzieś po drodze. Inaczej wyglądało to w sektorze przemysłowym, gdzie robotnicy pracowali pod terrorem. Otóż można strachem wymusić tylko minimum wysiłku absolutnie niezbędne dla uniknięcia represji, ale nie da się tego rodzaju bodźcami wyciągnąć maksimum. Plan sześcioletni rozbił się o pewną szczególną formę ukrytego, permanentnego strajku: powolnej i niewydajnej pracy. Tej formy oporu nie da się przełamać ani czołgami, ani największym terrorem. To jest ostatnia bardzo groźna broń klasy robotniczej. Myślę, że obecne kierownictwo pamięta to doświadczenie. I wreszcie inteligencja, w przytłaczającej większości zatrudniona przez państwo, bezpośrednio od niego zależna, zdawałoby się z natury najbardziej oportunistyczna. Tzw. „wewnętrzna emigracja” nie była w gruncie rzeczy niczym innym, jak masowym bojkotem środków masowego przekazu, socrealistycznej literatury, propagandy itp. Można człowieka skłonić strachem do zaprenumerowania *Trybuny Ludu*, ale nikogo nie da się zmusić, aby ją przeczytał. Ludzie, jak ślimaki wycofywali się z życia społecznego i zamykali w czterech ścianach rodzinnego domu. W języku oficjalnym mówiło się, że „partia utraciła łączność z masami”. Rezultatem była frustracja środowisk twórczych mających posłuszenie spełniać funkcję pasa transmisyjnego między władzą a społeczeństwem. Publicyści piszący pod dyktando, pisarze płodzący socrealistyczne chałtury, poeci i muzycy uprawiający kult Stalina, uczeni produkujący propagandową tandetę w pseudonaukowej szacie mieli świadomość, że nie znajdują odbiorców. Tu chyba należałoby dopatrywać się źródeł buntu intelektualistów partyjnych i bezpartyjnych w okresie poprzedzającym „Październik”. Wydarzenia październikowe były kumulatywnym efektem dwóch czynników w jakiś sposób ze sobą sprzężonych: walki o władzę w łonie kierownictwa partyjnego i biernego oporu społeczeństwa, które wykazało skrajną niewydolność stalinowskich metod rządzenia.

P.: — Jak ocenia pan w tym czasie opór Kościoła?

O.: — Ciągłość oporu występuje właśnie w sposób najbardziej widoczny w linii postępowania Kościoła. Nie można jednak sprowadzać wszystkiego do Prymasa, biskupów i kleru. W najcięższym okresie kardynał Wyszyński trzymany był w odosobnieniu. Największym zagrożeniem była wtedy próba rozbicia Kościoła od wewnątrz przy pomocy PAX-u i tzw. księży patriotów. Nie brakło oczywiście jednostek heroicznych, które za przykładem Prymasa wołały znaleźć się za kratami, aniżeli dać się przekupić i zastraszyć. Słabsi nie ulegali w obawie przed spon-

tanicznym ostracyzmem wiernych, zwłaszcza na wsi. Oceniam osobie Prymasa jako przywódcę na miarę tysiąclecia, ale nawet człowiek obdarzony największą odwagą, wolą i rozumem nic by nie zdziałał, gdyby nie miał mocnego oparcia w masach.

P.: — *A jak ocenia pan okres 1956-1975?*

O.: — Były przypływy i odpływy. Był marzec 1968, krótki zryw młodzieży akademickiej, któremu zupełnie biernie przyglądała się reszta społeczeństwa i był grudzień 1970 i jego styczniowy dalszy ciąg, też w gruncie rzeczy izolowany, bo inteligencja nie reagowała. Werblan miał trochę racji twierdząc w swej ocenie na użytek wewnątrzpartyjny, że między rokiem 1968 a jesienią 1975 wystąpiło wyraźne osłabienie aktywności wśród opozycji inteligentnej. Jeśli jednak spojrzeć na całość okresu 1956-1975, bilans zysków i strat wykazuje nadwyżkę. Nonsensem jest twierdzenie, że w okresie gomułkowskim partii udało się zniszczyć wszystkie zdobycze Października. Wystarczy porównać położenie Kościoła, chłopów, stosunkowo szeroki margines swobody twórczej i wypowiedzi z tym co dzieje się w innych krajach Europy Wschodniej, by móc stwierdzić, że pod wielu względami Polska jeszcze przed rokiem 1975 stanowiła oazę w całym bloku sowieckim. Masowy i jawny ruch oporu, którego początek ustala pan na koniec 1975 nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Zeusa. Ma swoje korzenie w przeszłości i w kolejnych zrywach 1956, 1968, 1970 i 1976. Nawet klęska 1968 roku była pozorna. Z wydarzeń marcowych, z pokolenia i środowiska komandosów wyrosli liderzy obecnego ruchu oporu. Wyrosli i dojrżeli.

P.: — *Co pan uważa za największe osiągnięcie w ciągu tych trzech lat?*

O.: — Samo to, że ruch oporu w jego obecnej postaci rozrósł się, skonsolidował, że trwa już przeszło trzy lata i stał się częścią rzeczywistości, do której władza powoli się przyzwyczaja. W drodze faktów dokonanych stworzona została dosyć szeroka strefa życia publicznego wolnego od kontroli państwa totalnego, które przez to samo przestało być państwem totalnym, choć jest nadal państwem policyjnym i autokratycznym. Jest to zasługa ludzi, którzy nie dali się zastraszyć i nie ulegli szykanom i represjom policyjnym. Na emigracji znane są fakty, ale mało kto zdaje sobie sprawę, jak wielkiej wytrzymałości psychicznej i nerwowej wymaga uparte kontynuowanie jawnego oporu. Każdy ruch, aby żyć i rozwijać się musi wykazywać nieustanną aktywność. Zastój a nawet zwolnienie tempa równa się śmierci ruchu masowego.

Zasługa jednostek przywódczych polegała na tym, że umiały nieustannie znajdować nowe formy i kierunki aktywności.

P.: — *Dlaczego bezpieka nie zlikwidowała tego ruchu w jego początkach?*

O.: — Złożyło się na to szereg czynników. Przede wszystkim akcja protestacyjna w 1975 roku od razu przybrała rozmiary masowe i zdobyła znaczny rozgłos w kraju i za granicą. Można po cichu aresztować jednego, kilku czy kilkunastu ludzi. Dużo trudniej zamknąć kilkanaście tysięcy. Zgadza się z twierdzeniem, że im bardziej masowe będą niezależne organizacje, tym mniej narażeni będą na represje ich uczestnicy i tym skuteczniejszą będzie ich działalność. Przywódców broni wyłącznie rozgłos. Katastrofalna sytuacja gospodarcza i perspektywa jej dalszego pogarszania się, związana z tym zależność od kredytów i zachodnich partnerów handlowych, narzuciła władzom pewną powściągliwość. Dlatego każda publiczna reakcja na zachodzie przeciwko gwałceniu praw człowieka w Polsce broni i zapobiega. Hamująco działa wreszcie obawa — także związana z sytuacją gospodarczą i nastrojami — przed całkowitą alienacją inteligencji i zaostreniem walki z Kościołem. Zasadnicze znaczenie ma wreszcie umiar „opozycji” (używam niechętnie tego określenia), zwłaszcza KOR-u, który wykazuje chyba największe poczucie odpowiedzialności i największy instynkt polityczny.

P.: — *A czy władzy nie hamuje po prostu obawa, że represje przeciw opozycji pobudzą do wystąpienia robotników?*

O.: — Mam co do tego wątpliwości. Uwolnienie blisko 900 robotników aresztowanych i skazanych po wydarzeniach czerwcowych w Ursusie i w Radomiu jest z pewnością zasługą KOR-u. Czy jednak robotnicy rozpocząłby strajk w odpowiedzi na masowe aresztowania wśród inteligencji? Sojusz inteligencji z robotnikami ma wciąż charakter jednostronny. Z punktu widzenia władz dużo niebezpieczniejsze jest przywiązanie znacznej części robotników i chłopów do Kościoła.

Warto w tym miejscu podkreślić, że ruch oporu jednoczy wszystkie żyjące pokolenia. Czołowy przedstawiciel opozycji prof. Edward Lipiński ma lat 90, należy do generacji urodzonej w ub. stuleciu. Natomiast niektórzy działacze SKS nie mają nawet 20 lat.

P.: — *Wspomniał pan na wstępie, że Solżenicyn stał się głównym ideologiem nie tylko dla dysydentów w ZSSR, lecz także ruchu oporu w Polsce i gdzie indziej. Jak pan to rozumie?*

O.: — Sołżenicyn usiłuje zaszerwować czytelnikom, że nawet w najbardziej brutalnym ustroju totalnym państwo musi się liczyć w jakimś stopniu z nastrojami i zachowaniem się ludności pod warunkiem, że umie ona i chce dawać zewnętrzny wyraz swemu niezadowoleniu. Pełne potwierdzenie tego dostarcza powojenna historia PRL. Ponadto Sołżenicyn wykazuje, że między uległością niewolnika a buntem rewolucjonisty posługującego się siłą i terrorem istnieje szeroka gama innych możliwości. Autor *Archipelagu Gułag* poddaje miazdzącej krytyce własny naród zarzucając mu absolutną bierność wobec przemocy, więcej — niewolnicze współdziałanie ofiar z prześladowcami. Twierdzi „że gdyby odwaga cywilna cechowała nasz lud nie byłoby powodu do napisania *'Archipelagu Gułag'* bo by go nie było”. Na pierwszy rzut oka może się to wydawać literacką fantazją. Sołżenicyn uzasadnia jednak, że despotyczne rządy mniejszości opierają się wyłącznie na strachu rządzonych przed rządzonymi. Stają się bezsilne wobec ludzi, którzy są gotowi na wszystko i wyzwolili się z obozwardniającego uczucia lęku. „Tylko ten zwycięży, kto się wyrzeknie wszystkiego”. Co może uczynić KGB człowiekowi, który przestał bać się śmierci, bicia, tortur, zamknięcia i w więzieniu albo w szpitalu dla wariatów, utraty posady a nawet zagrożenia członków swojej rodziny. Można go oczywiście zabić, albo unieszkodliwić zamykając w łagrze. Historia uczy jednak, że w pewnych sytuacjach przykłady męczeństwa działają zaraźliwie. Jeśli przełamanie bariery strachu nastąpi w skali masowej i ogarnie z czasem większość społeczeństwa — narzędzie terroru zostanie wytrącone i sytuacja ulegnie odwróceniu: rządzący zaczną bać się rządzonych i zmuszeni zostaną do ustępstw i kompromisów. To jest chyba kwintesencja myśli Sołżenicyna. Wyzwolenie się spod paraliżującego lęku przed najgorszym, pociągnięcie własnym przykładem innych jest największą zasługą Sołżenicyna, Sacharowa i w ogóle dysydentów w ZSSR.

P.: — Wróćmy do Polski. Tu obok zastraszania przez bezpiekę jest jeszcze obawa społeczeństwa przed interwencją sowiecką. Jak pan to zagrożenie ocenia?

O.: — Trzeba je mieć ciągle na uwadze a równocześnie oceniać je realnie. Nie wolno dopuścić do tego, by stało się ono szantażem zmuszającym do absolutnej bierności, bo to prowadziłoby w prostej linii do innego niebezpieczeństwa, mianowicie do sowietyzacji kraju.

Nie ma żadnej analogii między Polską anno Domini 1979 a Węgrami i Czechosłowacją. W obu tych krajach inwazja wymierzona była przeciwko kierownictwu partii, które nie tylko

wypowiedziało posłuszeństwo Moskwie (w Rumunii zrobił to już dawno i bezkarnie Ceaucescu), ale było gotowe wystąpić z paktu warszawskiego (Węgry) i wyrzec się monopolu władzy czyli jednopartyjnych rządów. W obu wypadkach Moskwa mogła liczyć na to, że wojska sowieckie nie napotkają oporu zbrojnego. W Polsce sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Ekipa Gierka jest całkowicie uległa wobec Moskwy. Nie zamierza dzielić się władzą z opozycją i usiłuje ją zwalczać. Nie ma więc powodu do interwencji wojskowej. Ponadto Rosjanie mają już swoje doświadczenie z Polakami, pamiętają Powstanie Warszawskie i, jak powiedział kiedyś Kisielewski, wiedzą, że Polska to taki niebezpieczny naród, który w obronie imponderabiliów już raz poświęcił swoją stolicę i doprowadzony do ostateczności przestaje się liczyć z ofiarami. Na Kremlu nie mogą mieć pewności, czy wprowadzenie do akcji czołgów nie doprowadzi w Polsce do konfrontacji nie tylko z ludnością cywilną, ale i z wojskiem. Zapewno nie potrwałoby to długo, ale spektakl sowieckich czołgów miazdzących robotników byłby dla ZSSR politycznie bardzo kosztowny. Reperkusje międzynarodowe zwłaszcza w Trzecim Świecie mogłyby podważyć sowiecką strategię podboju bez wojny.

Wreszcie ruch oporu w Polsce jest dotychczas dużo ostrożniejszy, bardziej realistyczny niż opozycja w Czechosłowacji w roku 1968 i na Węgrzech 1956. Nie stawia sobie jako celu na dziś ani obalenia rządów i ustroju, ani wyzwolenia się od zależności sowieckiej. Nie zapominajmy jednak, że takie pojęcia jak „kierownicza rola partii”, czy „zależność od ZSSR” są w pewnych granicach (zależnie od układu sił w danej chwili) elastyczne i mogą być różnie interpretowane. Ruch oporu walczy o taką ich wykładnię, która daje możliwie najszerszy margines wolności.

P.: — Wynika z tego, że nie widzi pan w obecnej chwili niebezpieczeństwa zbrojnej interwencji sowieckiej.

O.: — Widzę je w dwóch wypadkach: Sowiety wkroczą zbrojnie, jeśli pod wpływem katastrofy gospodarczej dojdzie do dezintegracji systemu i grupa rządząca rozleci się albo utraci całkowicie panowanie nad sytuacją. Nie można tej możliwości wykluczyć. Albo jeśli dojdzie do zrywu, który rozleje się na cały kraj i którego reżym własnymi siłami nie zdoła opanować. Paradoks polega na tym, że Moskwa, ekipa Gierka i opozycja, mają wspólny interes — każdy z innych powodów — by tego uniknąć. Nie można wykluczyć nawet takiej sytuacji, w której kierownictwo partyjne zwraca się do ludzi typu Kuronia i Michnika o pomoc w uspokojeniu wrzenia, które grozi wybuchem. Mieliśmy precedens w 1956 roku, kiedy Kliszko i Bieńkowski pojechali do

Komańczy prosić Prymasa, by zgodził się wrócić do Warszawy i pomógł w uspokojeniu nastrojów. I chociaż kardynał Wyszyński wrócił bez stawiania warunków — partia musiała za to później Kościołowi zapłacić. Oczywiście Prymas mógł skutecznie wpłynąć na ludność tylko dzięki temu, że miał autorytet moralny wyniesiony z nieustępliwej walki.

P.: — *Wyobraźmy sobie, że dochodzi do takiej hypotetycznej sytuacji. Jaką cenę musiałyby władze zapłacić opozycji?*

O.: — Nie wiem. Chyba pogodzeniem się z istnieniem niezależnych ośrodków a może nawet z instytucjonalizowaniem ich na przykład w postaci uznania społecznych komitetów interwencyjnych przy Froncie Narodowym.

P.: — *Tak, ale wtedy opozycja stałaby się częścią establishment'u czyli przestałaby być tym, czym jest.*

O.: — Niekoniecznie. Tego rodzaju komitet mógłby stać się po prostu platformą dla ruchu oporu a równocześnie buforem między ludnością a władzami.

P.: — *Interwencja sowiecka nie jest jedynym niebezpieczeństwem. Polska jest przywiązana do sowieckiego rydwanu obawą przed zjednoczeniem Niemiec i roszczeniami terytorialnymi. Po układzie Bonn-Warszawa obawy te niewątpliwie osłabły, ale wciąż drżemą w głębi polskiej duszy.*

O.: — Zgadza się, że na dalszą przyszłość to jest nasz największy i najtrudniejszy dylemat polityczny. Osobiście uważam, że głównym zadaniem żyjącego pokolenia kto wie, może jednego czy dwóch następnych, jest odzyskanie niepodległości i utrwalenie granicy zachodniej. Jedno jest nierozdzielnie związane z drugim. Utrata Ziem Zachodnich oznaczałaby zredukowanie nas do państwa kadłubowego, niezdolnego do samodzielnego bytu. Ale droga do utrwalenia granicy na Odrze i Nysie prowadzi przez pojednanie z Niemcami, albo jeśli pan woli, przez pogodzenie się większości społeczeństwa niemieckiego z obecnym statusem terytorialnym. Odzyskanie niepodległości nie jest możliwe dopóki Niemcy Wschodnie są satelitą ZSSR. Chyba nie trzeba tego udowadniać. A wyzwolenie Niemiec Wschodnich od sowieckiej kurateli prowadzi do zjednoczenia Niemiec, czy tego chcemy czy nie. Zmierzam do tego, że szantażem niebezpieczeństwa niemieckiego nie wolno dać się zmusić do wyrzeczenia się niepodległości.

P.: — *Wynika z tego, że solidaryzuje się pan z oświadczeniem PPN.*

O.: — Zgadza się z zasadniczą myślą, lecz niektóre sformułowania były nieszczęśliwe i niepotrzebne. Zjednoczenia Niemiec nie można wysuwać jako postulatu polskiej racji stanu, bo tego społeczeństwo nie przełknie. Nie tylko Polska, ale zachodni sąsiedzi Niemiec woleliby Niemcy podzielone, ale tamci nie będą mieli ochoty, a my siłą, aby temu zapobiec. Przyszłe zjednoczenie Niemiec trzeba po prostu traktować jako rzecz w wymiarze historycznym nieuniknioną i należy się do tej ewentualności zawsze przygotować. Polski nie stać na agresję *moralną* (czyli kulturowanie wieczystej nienawiści) ani przeciw *narodowi* rosyjskiemu ani niemieckiemu. Podkreślam przeciw *narodom*, których nie należy nigdy identyfikować z rządami. Domagamy się tego rozróżnienia dla siebie, stosujemy je więc wobec innych. Droge postępowania wobec Niemiec wytyczył Prymas i Episkopat. Kościół ma olbrzymie zasługi dla scalenia Ziem Zachodnich z resztą kraju i jeszcze większe dla wywalczenia uznania granicy przez Watykan, co stało się pierwszą międzynarodową wykładnią układu Warszawa-Bonn. Ale równocześnie Kościół był pierwszym, który wyciągnął rękę do pojednania. Nauczmy patrzeć się w przyszłość poza obecny stan rzeczy. Marzymy o wyłonieniu się koniunktury, która pozwoli nam odzyskać niepodległość, ale nie dopuszczamy nieprzyjemnej myśli, że ten sam układ doprowadzi najprawdopodobniej do zjednoczenia Niemiec choćby w postaci federacji dwóch organizmów o odmiennej strukturze społeczno-gospodarczej. W Niemczech Wschodnich antypolskie nastroje rewindykacyjne tłumione są siłą. Tym mocniej prawem reakcji wystąpią na powierzchnię w chwili wyzwolenia. Czas, który nam pozostał należy wykorzystać dla wspierania i zachęcania tych elementów w Niemczech Zachodnich, które dążą do pojednania z nami na gruncie uznania granic. Ogromne zasługi ma pod tym względem grupa skupiona wokół *Tygodnika Powszechnego*. Zdumiewają natomiast wystąpienia niektórych polityków i grupiek emigracyjnych, które sprzymierzają się z rewizjonistami, elementami szowinistycznymi i nieprzejednanymi wrogami dezorientując przez to i zniechęcając przyjaciół choć ich w dzisiejszym społeczeństwie niemieckim nie brakuje. Gdyby, co nie daj Boże, elementy neohitlerowskie i nacjonalistyczne wzięły w Niemczech górę — nie pozostałoby nam nic innego jak związanie się z Rosją w roli mniejszego a więc zależnego partnera. Powinniśmy lepiej poznać geografii polityczną dzisiejszych Niemiec. Odrzucmy traktowanie ich *en bloc* w jednym czarnym kolorze. Obraz jest złożony i różniczkowany. Także z polskiego punktu widzenia.

P.: — *Wróćmy jednak do tematu. Pewien polski politolog przypominał niedawno na łamach amerykańskiego periodyku, że oba*

powstania Listopadowe i Styczniowe rozniecone zostały przez młode i zapalczywe elementy wbrew stanowisku i rozeznaniu starszych i wyraził obawę, że odpowiedzialne elementy ruchu oporu mogą się znaleźć w tej samej sytuacji.

O.: — Skończmy już z tym. Z każdą akcją polityczną i z każdą walką wiąże się jakieś ryzyko. Nie da go się zresztą uniknąć popadając w bezczynność. Chodzi o to, by ryzyko było starannie wykalkulowane i by starać się ograniczać je w miarę możliwości. Mechaniczne przykładanie starych schematów jak romantyzm *versus* realizm czy pozytywizm prowadzi do uproszczeń i fałszywego obrazu rzeczywistości.

P.: — *Ludzie odwiedzający rodziny w Polsce twierdzą po powrocie, że opozycja bardziej jest widoczna w prasie emigracyjnej niż na miejscu w kraju. Jak pan ocenia siły ruchu oporu?*

O.: — Przestrzegam przed liczeniem od sztuki. Na początku wspomniał Pan, że w końcu 1975 około 40 tys. ludzi wystąpiło jawnie składając podpisy — przeważnie czytelne — pod różnymi protestami i petycjami. Od tego czasu jawny ruch znacznie się rozwinął, skonsolidował i osiągnął rozmiary masowe w skali niespotykanej w żadnym innym kraju orbity sowieckiej. Werblan ocenił, że 200 czołowych intelektualistów zaangażowało się czynnie. Wszystkie te liczby nie uwzględniają najważniejszego. Tego mianowicie, że na każdego ujawnionego przypada wielu ludzi, którzy współdziałają anonimowo. Nie chcąc być gołosłownym sięgnę do jednej cyfry. *Kultura* w zeszycie styczniowym przytacza sprawozdanie finansowe KOR-u za okres jednego roku. Wynika z niego, że sam KOR rozdał na różne cele ponad dwa miliony złotych, udzielił pożyczek na akcję wydawniczą na sumę 400 tys. złotych. Jak na polskie stosunki — bardzo dużo. Tylko niewielką część tego stanowią dary od Polaków z zagranicy. Ogromna większość pochodzi z ofiarności społeczeństwa, czasem z groszowych datków ludzi najbiedniejszych. To tylko jedna ilustracja siły zaplecza.

Trzeba jednak przyznać, że ten nurt objął dotychczas tylko część społeczeństwa. Większość pozostaje poza nim, woli się przyglądać aniżeli pomagać. Niejednemu odwaga i aktywność innych zamąca sumienie i przeszkadza w wewnętrznej akomodacji budząc nawet niechęć. Pamiętajmy jednak, że w roku 1914 część społeczeństwa czynnie zaangażowana w dążeniach niepodległościowych stanowiła drobną mniejszość. Większość była pogodzona z istniejącym stanem rzeczy, pogrążona w apatii i w trójlojalizmie. I ta niewielka mniejszość potrafiła w bardzo

krótkim czasie przebudzić, uaktywnić i zmobilizować cały naród, gdy tylko wyłoniły się przed nim realne szanse i nadzieje.

P.: — *Dotychczas wspominał pan tylko o KOR. Istnieją inne ośrodki. Najsilniejszym jest niewątpliwie ROPCiO, gdzie zarysował się ostatnio rozłam. Czy po tej linii idzie podział ruchu na lewicę i prawicę?*

O.: — Polityczna geografia ruchu oporu nie jest jednolita. KOR stawia sobie konkretne i kolejne zadania na dziś, starając się skupić wokół nich ludzi o jak najszerzym wachlarzu. Nie jest więc formacją w sensie stronnictwa czy grupy politycznej. Bliższy temu jest ROPCiO, ale także byłoby błędem utożsamiać go z jednym z tradycyjnych, przedwojennych kierunków politycznych. Nie można pomijać PPN, którego działacze konspirują się, a który pragnie być kuźnią idei i koncepcji polityczno-programowych. W KOR robią to Kuroń i Michnik, ale obaj podkreślają, że występują w imieniu własnym.

P.: — *Czy da się jednak powiedzieć, że ROPCiO reprezentuje w tym układzie prawicę a KOR demokratyczną lewicę?*

O.: — Lepiej być ostrożnym. Dawniej prawica była utożsamiana z Kościołem i katolicyzmem. KOR nie tylko ma w swoim gronie księdza, ale wspiera finansowo pismo młodych katolików *Spotkania*. Kryteria ulegają zmianom. ROPCiO przyciąga niewątpliwie elementy nacjonalistyczne, m.in. doły PAX-u. W strefie wolności i demokracji musi panować pluralizm i konflikty poglądów, mogą występować nawet rozłamy. To wszystko jest istotą każdej wolnej zbiorowości. Musi więc istnieć prawica i lewica. Ani jednym ani drugim nie można odmawiać prawa do istnienia i szerzenia własnych poglądów. Nawet jeśli przeciwnik ich nie lubi. Grunt, że nie spełniły się nadzieje bezpieki łączącej na to, że mnożenie się organizacji, czasopism itd., doprowadzi do tego, że zaczną się kłócić między sobą zamiast walczyć z totalizmem. Jak dotychczas polemiki i dyskusje nie naruszyły zasadniczej solidarności w sprawach zasadniczych.

P.: — *Jak pan wyobraża sobie przyszłość?*

O.: — Wiele, jeśli nie wszystko, zależy od rozwoju sytuacji w Moskwie. Kierownictwo partii żyje w wyczekiwaniu tego, co się stanie po odejściu Breżniewa. Póki panuje niepewność — bezpieczniej jest nie wychylać się w tym czy w innym kierunku. Wiek i choroba Breżniewa wytwarzają pewien immobilizm i w Moskwie i w Warszawie. Należy to uznać za okoliczność sprzyjającą i życzyć sobie, aby Breżniew potrwiał jeszcze jakiś

czas, bo im bardziej ten stan rzeczy się przedłuża, tym większa potencjalna możliwość przewlekłej walki o władzę po jego odejściu. Snucie przewidywań byłoby zbyt dowolne. Można jednak zaryzykować tezę, że gdy Breżniew zejdzie ze sceny, być może cała jego ekipa zostanie zmuszona do odejścia. Mało kto zdaje sobie na zachodzie sprawę ze stopnia frustracji i ciśnienia wywieranego przez pokolenie ludzi około pięćdziesiątki. Wobec braku jakiegokolwiek mechanizmu sukcesji nie wyobrażam sobie, aby taka zmiana całej ekipy mogła nastąpić bez walki.

Upraszczać przewidywania na przyszłość można sobie wyobrazić dwa scenariusze. Jeden optymistyczny — drugi pesymistyczny. Zaczniemy od pierwszego.

Po odejściu Breżniewa następuje okres przejściowy. Następca nie ma w ręku pełnej władzy poprzednika. Rządy sprawowane kolegiąlnie doprowadzają do przewlekłej walki o władzę. Rywalizujące frakcje wciągają sojuszników zewnętrznych spoza swego własnego grona, a więc najprzód aktyw partyjny, wojsko, KGB... a w dalszej kolejności elitę intelektualną i w ostatniej fazie szerokie masy. Jeśli ten proces potrwa dostatecznie długo — może doprowadzić do rozhuśtania nastrojów, rozbudzenia mas i powtórzenia się wzorca zbliżonego do polskiego „Października”, węgierskiego listopada i praskiej wiosny. Z tym, że nie będzie tym razem siły interwencyjnej, bo zakładamy, że wojsko i KGB stoją po przeciwnej stronie. W tych warunkach dochodzi do przejściowego osłabienia centralnego ośrodka dyspozycji całej orbity sowieckiej i wyzwolenia tendencji odśrodkowych. Przed społeczeństwem wyłania się koniunktura, którą w pełni wykorzystuje ono dzięki istnieniu ruchu oporu.

A teraz scenariusz pesymistyczny: zmiana na Kremlu dokonuje się w drodze jeszcze jednej rewolucji pałacowej rozgrywającej się w ciągu kilku godzin czy dni w czterech ścianach Kremla. O wyborze następcy decyduje sojusz wojska i KGB. Do władzy dochodzą elementy szowinistyczne. Otwiera się okres bonapartyzmu. Nowa ekipa wchodzi na drogę szybkiej ekspansji, postanawia wykorzystać słabość Zachodu i przewagę własną. Dochodzi do napięcia i kryzysu między supermocarstwami. W obliczu zagrożenia Moskwa przeprowadza prewencyjne oczyszczanie tyłów. Ekipa Gierka ustępuje miejsca frakcji policyjnej — opozycja zostaje wyeliminowana.

Oczywiście między tymi dwoma skrajnościami można sobie wyobrazić dowolną ilość różnych wariantów. Na przykład w Polsce dochodzi do zrywu rewolucyjnego, rządy wymykają się partii z ręki, następuje sowiecka interwencja wojskowa ze wszystkimi jej konsekwencjami. Albo inaczej: do eksplozji nie dochodzi, względnie bunt rewolucyjny zostaje zahamowany dzięki opozycji

i przy jej współdziałaniu. Partia godzi się z faktem istnienia opozycji w ściśle określonych ramach. Można oczywiście mnożyć tego rodzaju spekulacje bez końca.

P.: — *Ostatnie pytanie. Na czym ma polegać pomoc emigracji poza dostarczaniem środków finansowych?*

O.: — Mobilizowanie i informowanie opinii zachodniej — w pierwszym rzędzie środków masowego przekazu i rządu USA. Montowanie wspólnego frontu i współdziałanie w konkretnym celu: obrony praw człowieka, wszystkich grup etnicznych z Europy Wschodniej nie wyłączając Rosjan a ze szczególnym akcentem na zbliżenie z naszymi sąsiadami etnicznymi. Współdziałanie w konkretnych sprawach i wzajemna pomoc łatwiej doprowadzą do rozładowania dawnych antagonizmów i zbudowania frontu solidarności aniżeli jałowe roztrząsanie przeszłości. Tego rodzaju wspólny front będzie rzutował na Polskę i jej sąsiadów. Pamiętajmy, że tym razem niepodległość przynieść mogą tylko wypadki wewnątrz sowieckiej orbity przede wszystkim w jej centrum. Nie możemy liczyć na Zachód i Stany Zjednoczone. W tych warunkach jedyną realną orientacją jest wytrwałe montowanie solidarnego frontu przeciw władzy totalnej wszystkich narodów ZSSR.

Po drugie emigranci powinni wykazywać co najmniej tyle odwagi co opozycja w kraju. Dam przykład. Odbywat się niedawno zjazd uczonych pochodzenia polskiego w Krakowie. Czy chociaż jeden z nich zapytał publicznie dlaczego nie ma na tym zjeździe ani jednego polskiego uczonego z ZSSR. A jeśli ich tam nie ma, to dlaczego polska mniejszość pozbawiona została dostępu do kariery naukowej. Czy ktokolwiek upomniał się o wypuszczenie z Polski Barańczaka, na którego czeka katedra literatury polskiej w Harvardzie. (Jeśli się myślę z radością przyjmę sprostowanie). Taki „śmiałek” ryzykuje co najwyżej odmowę wizy przy następnej podróży. Proszę to porównać z groźbą skrytobójstwa, z którą nieustannie spotykają się ludzie zatrzymywani przez bezpiekę albo z utratą pracy lub możliwości publikowania. Dwieście tysięcy ludzi przyjeżdża do Polski z Zachodu. Każdy mógłby zabrać książkę albo czasopismo. Tymczasem na tego rodzaju „bohaterstwo” umie się zdobyć garstka.

I najważniejsze. Emigracja musi wyzwolić się z pokutującego jeszcze gdzieś poglądu, że walka o zdobycze ograniczone, ale możliwe do uzyskania w warunkach dnia dzisiejszego, oznacza odstąpienie od celu maksymalnego jakim jest odzyskanie w bliżej nieokreślonej przyszłości niepodległego bytu. Fałszywy slogan mówiący, że każda działalność zmierzająca do nieznacznego choćby poprawy, możliwej do osiągnięcia w aktualnie istniejących wa-

runkach, oznacza „ulepszanie systemu” a więc jego akceptację — prowadzi w prostej linii do biernego wyczekiwania i powtarzania w kółko tych samych pryncypialnych haseł. A bezczynność to nic innego, jak przyzwyczajanie się do istniejącego stanu rzeczy. Codzienna walka o cele częściowe wcale nie oznacza wyrzeczenia się celu maksymalnego tj. niepodległości. Wręcz przeciwnie utrzymuje ono społeczeństwo w stanie aktywności i gotowości. Warto w tym miejscu przypomnieć słowa śp. Juliusza Mieroszewskiego: „*postulat niepodległości Polski przestanie być realny tylko w jednym wypadku: jeśli samo społeczeństwo uzna go za nieziszczalny, pogodzi się z obecnym stanem rzeczy i ztraci potrzebę wolności i tęsknotę za niezależnością*”.

Jan NOWAK

Widziane z Brukseli

DRUGA STRONA CZWARTEGO MEDALU LEONIDA BREŻNIEWA

„Towarzysze z kierownictwa uznali, że jestem przemęczony i przepracowany i przekonali mnie, iż powinienem odpocząć...”. Tymi słowami rozpoczął swój powitalny toast pierwszy sekretarz komitetu centralnego komunistycznej partii Związku Sowieckiego, przewodniczący Rady Najwyższej ZSSR, marszałek Leonid Illicz Breżniew podczas powitalnego bankietu wydanego w dniu 13 stycznia 1979 roku w Sofii przez pierwszego sekretarza komitetu centralnego bułgarskiej partii komunistycznej, przewodniczącego Rady Najwyższej Bułgarskiej Republiki Ludowej — Todora Żiwkova.

Nic dziwnego, że pierwszy sekretarz... itd., był zmęczony. Odniósł był właśnie świetne zwycięstwo w Kambodży. Kilka dni przed toastem, wietnamski *Blitzkrieg* wyzwolił Pnom Penh, wypędzając zniechęconą (i słusznie) klikę Pol Pot'a. Breżniew ma 72 lata, cierpi na wiele różnych chorób, źle słyszy (nosi już stale aparat w lewym uchu — dlatego wszystkie zdjęcia są z prawego profilu) mówi coraz bardziej niewyraźnie, coraz rzadziej rozmawia, coraz częściej czyta przygotowane monologi.

Zanim towarzysze z kierownictwa przypną mu za kambodżański sukces czwartą gwiazdę na piersi (na zdjęciu w styczniowym *Time* widać ich tylko trzy, a jest jeszcze miejsce), Breżniew

chciał odpocząć i słusznie wybrał Bułgarię. Można się, co prawda zastanowić czy Breżniewowi nie odpowiada już klimat krymski, też czarnomorski wszak, ale i Bułgaria ma zalety. Ze wszystkich bratnich narodów, ten jest najwierniejszy, żadne dysydenckie echo nie zakłóci odpoczynku sekretarza, ze wszystkich bratnich szefów Żiwkow najrzadziej się skarży, nigdy nie zabiera samodzielnego głosu, a kiedy zabiera to tylko po to, aby powtórzyć *his masters voice*, bez żadnych myśli ukrytych (*if any...*). No i nie razi młodością, ani biologiczną, ani na urzędzie. Prawdziwi Słowianie i prawdziwi komuniści, dla Bułgarów „miłość do Bułgarii i do ZSSR są nierozłączne” i chodzi im już tylko o to, aby „nie likwidując narodowych cech stworzyć wraz z ZSSR jeden organizm, oddychający tymi samymi płucami i używany tym samym krwioobiegiem” (cytaty autentyczne!).

Klimatycznie także Bułgaria się nadaje. Żiwkow przygotował dla Breżniewa nowiutki skromny pałacyk w uzdrowisku Bankia, o kilkanaście km. od Sofii, znanym ze swego mikroklimatu i swych źródeł wyjątkowo skutecznych w schorzeniach naczyniowych i sercowych. Krótko mówiąc, warunki idealne dla Breżniewa, w którego otoczeniu (żona, syn...) dawano do zrozumienia, że pobyt potrwa co najmniej jeszcze kilka dni, po zakończeniu części oficjalnej.

Tymczasem, zaskoczenie: Breżniew wyjechał po zaledwie czterech dniach pobytu w Sofii. Nic przy tym w ciągu tych czterech dni nie przypominało ani kuracji ani odpoczynku. Pogoda się popsuła czy co? Niektóre szczegóły wskazywały także na nerwowość pacjenta i nagły charakter decyzji powrotu. Radio sowieckie np. — instytucja oficjalna przecież — podało Moskwę jako cel samolotu, na pokładzie którego Breżniew opuścił Sofię, podczas gdy ten lądował na Krymie, gdzie Breżniew wypoczywał (?) przez następne 48 godzin.

Nie jest to jednak jedyny szczegół wart sprawdzenia. Istotnie, sporo rzeczy nie klapuje. Jeżeli bowiem nie odpoczynek czy turystyka były celem podróży Breżniewa do Sofii, to warto zadać sobie pytanie, co takiego mogło w najgorszą zimę stulecia, rzucić chorego i nie lubiącego podróży pierwszego sekretarza do nagłego skoku przez lądy i wody, klimaty i temperatury aż do Sofii, akurat w chwili kiedy na biurku szefa potężnego państwa piętrzyły się *dossiers* Iranu, Indochin, SALT II i Chin, żeby pominąć mniej ważne? Czyżby akurat w takiej chwili, kiedy los świata wymagał jego obecności przy atomowym guziku i czerwonej linii na Kremlu, Breżniew poczuł nieodparte pragnienie i żądę oraz potrzebę poradzenia się z Żiwkowem, który, jak dotąd, nie zastrykał ani z oryginalności wyobraźni politycznej ani odwagi przekonania.

A może to nie mikroklimat wieńcowy w Bankii a makroklimat polityczny świata najpierw pchnął Breżniewa do Sofii a potem skłonił do szybkiego powrotu? A może Breżniew udał się na Bałkany nie w sprawach serca, a w sprawach głowy, inaczej mó-